Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Fragment powieści *Mur*

Dworcowy zegar pokazywał 12:30. Koenig minął wielki billboard z hasłem „WYBIERZMY JAKUBA MARTENSA PONOWNIE NA PREZYDENTA”, przed wejściem zwolnił, obrzucił szybkim spojrzeniem nalepione na szkle plakaty wyborcze z podobizną prezydenta Martensa. Automatyczne drzwi się rozsunęły. Wszedł do środka, z przyzwyczajenia pochylając głowę.

W odległym prawym rogu przestronnej hali, oddzielonym od reszty pomieszczenia niską metalową barierką, stały kwadratowe stoliki z krzesłami. O tej porze dnia niespełna połowa miejsc była zajęta. Odczekawszy, aż przy barze z gotowymi daniami zrobił się luz, Koenig wybrał podwójny omlet ze szczypiorkiem, z ekspresu nalał sobie czarnej kawy i włożywszy odliczoną należność do jednej z kilku metalowych kasetek, z tacą przeszedł do najbliższego wolnego stolika pod ścianą.

Stolp siedział trzy stoliki dalej. Na widok Koeniga podniósł do góry kciuk i brodą wskazał dzieci. Liz i brat siedzieli z naburmuszonymi minami; przed każdym leżała papierowa tacka z bułką i sojową parówką.

Koenig mu odmachał. Wyjął z kieszeni złożoną gazetę, rozłożył na pierwszej stronie i zajął się czytaniem. Prawie nie patrząc na talerz, odkroił widelcem kawałek omleta, włożył do ust i zaczął żuć.

Wyczuł czyjąś obecność. Podniósł głowę znad gazety.

- Piękny profil. – Mężczyzna w słomkowym kapeluszu stał z boku stolika i patrzył na zajmujące jedną czwartą pierwszej strony zdjęcie prezydenta Martensa.

Koenig się zawahał. Na wszelki wypadek skinął głową.

- Mogę się przysiąść?

Miał do wyboru wolne stoliki, dlaczego wybrał właśnie ten? Koenig zmusił się do życzliwego uśmiechu i odparł na tyle głośno, by słowa wychwycił system rejestrujący w najbliższej kamerze:

- Bardzo proszę.

Staruszek usiadł na wprost Koeniga. Torbę ostrożnie umieścił na krześle po swej lewej stronie.

- Winien jestem panu przeprosiny.

Koenig przez chwilę analizował w myślach to, co usłyszał. Kto dzisiaj używa takich staromodnych sformułowań?

- Nic nie szkodzi. Lubię towarzystwo – zapewnił.

- Nie o tym mówię. Chciałem przeprosić, że pana okłamałem.

Koenig kolejny raz poczuł się nieswojo.

- Każdemu się zdarza – podjął bezpiecznie. – Kto z nas jest bez grzechu? – Zaśmiał się, bo zdał sobie sprawę, że sam wypowiedział jedną z formułek, które dawno już wyszły z powszechnego użytku.

Mężczyzna powolnym ruchem oparł splecione dłonie o stół i skupił na nich spojrzenie.

- Nie jestem nauczycielem. To znaczy kiedyś uczyłem w szkole, ale to przeszłość.

Rozumiem – powiedział Koenig. Wiele by dał, by tak było naprawdę.

- Mam nadzieję, że tam, na parkingu, nie zachowałem się zbyt obcesowo. Nie chciałem pana do siebie zrazić. – Podniósł wzrok na rozmówcę. – Będzie mi potrzebna pańska pomoc.

- Jeśli tylko będę potrafił...

Mężczyzna przestawił torbę z krzesła na stół i rozsunął zamek błyskawiczny.

- Nie spojrzy pan?

Koenig się podniósł i zajrzał do torby. Cofnął się szybko, strącając ręką widelec na podłogę. Hałas przyciągnął uwagę siedzących przy najbliższych stolikach. Koenig niezdarnie klapnął na krzesło, wymacał widelec i podniósł.

- Po co to panu? – wydukał, ściszając głos.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał go użyć.

- Użyć?

Mężczyzna pokazał brodą stolik ze Stolpami.

- Nie. – Koenig próbował zbyć sytuację śmiechem. – Nie zrobiłby pan czegoś podobnego.

- To zależy od pana.

- W jakim sensie?

- Musi mnie pan powstrzymać, zanim będzie za późno. Obawiam się, że Stolp okaże się takim samym tchórzem jak pan.

- Nie jestem tchórzem!

- Czyżby?

Staruszek wstał i nie zamykając torby, zdjął ją ze stolika.

- Stój!

- Krzykiem nic nie zdziałasz.

Koenig się poderwał i zastąpił mu drogę. Z wyciągniętymi pięściami, z twarzą czerwoną jak u furiata, napiął mięśnie, aż żyły na szyi mu nabrzmiały. Potrafił unieść w jednej ręce stufuntowy worek. W razie potrzeby dałby radę zmienić koło w samochodzie bez użycia lewarka.

Agresja, podobnie jak strach, ma własny specyficzny zapach. Mężczyzna stojący na wprost Koeniga musiał wyczuć jego intencje, bo wypuścił torbę z ręki i skulił się, jakby waliła się na niego ściana budynku. Zamiast jednak się cofnąć, zrobił krok do przodu z miną desperata chcącego przyspieszyć katastrofę.

Najbliżej umieszczona kamera poruszyła się, z cichym szumem silniczka zmieniła kąt ustawienia i Koenig zobaczył wycelowane prosto w siebie szklane oko, a powyżej, na czarnej matowej obudowie kamery, intensywnie czerwoną kropkę. Pulsowała ostrzegawczo. Ręce opuścił wzdłuż ciała.

Staruszek nie tracił jeszcze nadziei. Wreszcie dotarło do niego, że czekanie na nic się nie zda. Schylił się, podniósł torbę, wyminął Koeniga i ruszył dalej.

Stąpał sztywno po czarno-białej szachownicy podłogi, między stolikami z gośćmi, pośród szumu klimatyzatorów i szczęku sztućców, pośród gwaru rozmów i śmiechów, które na jego widok stopniowo obumierały, aż całkiem ucichły, pod białym sufitem upstrzonym ciemnymi plamami kamer i mikrofonów – a z każdej ściany patrzył na niego z plakatów Jakub Martens, a palec Jakuba Martensa pokazywał czarne jak noc litery, które układały się w pierwsze przykazanie Republiki: „NIE BĘDZIESZ PRZELEWAŁ KRWI”.

Kiedy doszedł tam, dokąd zmierzał, stanął i powiedział:

- Nazywam się Jan Rakoczy. Nie żywię do pana osobistej urazy, majorze Stolp. To, co zamierzam zrobić, nie jest wymierzone w pana ani pańską rodzinę. – Obiegł wzrokiem najbliżej rozmieszczone kamery. – Nie dadzą nam więcej niż trzy minuty. Choć nie tracę nadziei, że pan wcześniej położy temu kres.

Wyjął zawartość torby na stół. Stolp pobladł, odjął papierową serwetkę od ust i zaczął ją bezwiednie ugniatać.

- Zna pan ten model, majorze? – Stolp nie odpowiedział, więc Rakoczy powtórzył pytanie.

- Karabin szturmowy RAP-24 – wydukał Stolp.

- Może strzelać ogniem ciągłym i pojedynczym. Oczywiście, wiedza historyka na nic mi się nie zdała, praktycznej obsługi musiałem uczyć się od podstaw. Jako tako opanowałem strzelanie ogniem pojedynczym, przy ogniu ciągłym nie radziłem sobie z odrzutem. Ta umiejętność wymaga jednak sporego obycia z bronią. Tak czy inaczej nigdy nie zakładałem, że będzie mi to potrzebne.

- Czego ten pan chce? – zainteresował się Rudi. Matka bez powodzenia próbowała chłopca uciszyć. – Mogę dotknąć?

Malec wszedł kolanami na krzesło i wyciągnął się jak długi, ale Rakoczy zabrał karabin ze stołu.

- Nie rób tego, synku – ostrzegł. – To nie zabawka.

- A do czego to jest? – zainteresowała się Liz.

Rakoczy się zawahał, co Stolp przytomnie wykorzystał.

- Zjedliście? To się zbieramy.

Rakoczy zrobił krok w tył, wycelował i pociągnął za spust. Kula trafiła majora w lewą stopę. Osunął się na krzesło. Z lewego kącika ust ciekła mu ślina, a od białych jak kreda policzków odbijały się gęsto usiane sinofioletowe żyłki, zbiegające się niczym dopływy podziemnej rzeki u nasady nosa, który nagle stał się dłuższy i wyostrzony, jakby ktoś ociosał go dłutem.

Dzieci Stolpów rozpłakały się. Lena Stolp objęła je ramionami i wszyscy troje patrzyli, jak Rakoczy załadowuje broń i posyła kulę w sufit.

- Wszyscy zostają na swoich miejscach! – rozkazał. I bez tego klienci baru i podróżni w hali dworcowej byli jak sparaliżowani.

Czujniki wszystkich kamer żarzyły się teraz na czerwono. Obiektywy kierowały się na Rakoczego i stolik, przy którym stał.

- Zranił mnie! – Stolp pożalił się płaczliwie.

- Ruch należy do pana. W takich chwilach do głosu dochodzi instynkt przetrwania. Wszystko, co się liczy, to chęć ocalenia życia. I święte więzy krwi. Dla ratowania siebie i najbliższych gotowi jesteśmy zabić.

Przeładował i położył karabin na stole, lufą w swoją stronę.

- Do magazynku załadowałem sześć kul. Zostały cztery. Proszę Boga, by zrobił pan z nich właściwy użytek. Nawet ranny ma pan nade mną fizyczną przewagę. Wystarczy wyciągnąć rękę i nacisnąć spust.

- Danny – odezwała się pani Stolp. – Zrób coś.

Major, zgięty w pół, kiwał się na krześle. Powoli wyprostował plecy i spojrzał na broń.

- Niech ktoś wreszcie wezwie Czerwone Koszule! – syknął Koenig.

- Już jadą. – Rakoczy, wyprostowany przy stoliku, łowił uchem dźwięki.

Z dwóch stron – od Placu Zwycięstwa Republiki i Alei Męczenników Siódmego Września – dobiegało buczenie syren na przemian z mechanicznym stukotem, jakby ktoś rytmicznie uderzał w drzwi olbrzymią kołatką. Hałas się przybliżał.

- Panie majorze! – Rakoczy pchnął w stronę Stolpa karabin.

Stolp się zgarbił, ręce schował między uda.

- Nie zastanawiał się pan przez te wszystkie lata, majorze, ku czemu to wszystko zmierza? – Rakoczy rozejrzał się po sali. – Nikt z was nie zadawał sobie podobnych pytań? Martens i jego pomagierzy zrobili z was niewolników. A to dopiero początek. Gdybym nie wierzył, że choć niektórych wyrwę z marazmu, nie stałbym tu dzisiaj.

Zawodzenie syren dobiegało teraz jakby tuż zza ściany. Ucichło i wtedy Rakoczy wziął karabin.

- Przykro mi, pani Stolp. Chciałbym wierzyć, że przynajmniej pomagam wam odzyskać odrobinę godności.

Trafił majora w serce. Przeładował, prawie bez mierzenia nacisnął spust i Lena Stolp osunęła się na posadzkę.

Za oszkloną ścianą przesunął się cień helikoptera. Zaraz potem północnym i południowym wejściem wpadli szturmowcy w Czerwonych Koszulach. Jan Rakoczy rzucił broń i podniósł do góry ręce. Dowodzący oddziałem dryblas w stopniu sierżanta wydał swym ludziom rozkaz i po celnych strzałach szturmowców rodzeństwo Stolp padło martwe na podłogę. Żołnierze rozbiegli się, by dalej czynić swoją powinność, a sierżant, stawiając długie nogi niczym baletnica, wysforował się przed resztę, zamachnął się, jakby rzucał lasso i Jana Rakoczego oplotła gęsta nylonowa sieć. Wytrącony z równowagi silnym szarpnięciem, zwalił się na splamioną krwią posadzkę i po raz pierwszy od wielu lat zapłakał.